



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowinieci z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WSPOMNIENIE.

Gdzie gromów ryk, gdzie wichrów szum,
Gdzie jęczy śmierci dzwon,
O tam, o tam młodzieńczych dum
I rajszych marzeń skon.

Był wiosny dzień, rozkoszy czas...
Ach, dawno minął już!
Widziadła me! Żegnałem was,
Gdym słuchał ryku burz.

Lecz nie żał mi młodzieńczych mar,
Rozkosznych, cichych dni:
Dziś także ma swój wielki czar
I dusza także śni.

Gdzie gromów blask i wichrów szum,
Gdzie ryk spienionych fal,
Tam myśli rój, tam męzkich dum
Szeregi płyną w dal.

Z miliardem słońc, z miliardem gwiazd
Zespolon, bieży duch
Za krańce sfer wichrowych jazd,
Gdzie wieczny światów ruch.

Lecz, dziwna rzecz, na duszy dnie,
Choć wre zawzięty bój,
Tkwi dawny czar i czasem w śnie
Mar sennych widzę rój.

Minionych dni wypływa cień,
Jak błądy księżyc z chmur, —
Miłości moc tchnie życie weń;
Zaspiewa piosnkę chór.

O znam tę pieśń, o znam ten dźwięk:
To piosnka dawnych lat;
Niebieskich harf to smutny jęk,
To dawny czarów świat.

I wpośród burz nie czuję burz:
Wokoło jeden raj,
Jak ongi był. Ból znika już...
Ach, daj mi marzyć, daj!

J. Nitowski.

BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy **M. WOŁOWSKIEGO.**

(Dalszy ciąg).

— To już rzecz moja. Prośbą tę spełniam nie tylko najgorętsze pragnienia mego serca, ale i wyraźną wolę twojej nieboszczki matki. Posag wypłacisz, kiedy będziesz chciał.

— Mniejsza o to—odparł Rafał—jako jednak brat starszy Anielki, czuję się w obowiązku obja-

wić wam, że krok ten uważam za największe szaleństwo.

— To pokaże przyszłość—odparł Szydlik, obojętnie się uśmiechając, i wyszedł.

W trzy tygodnie potem, szczęśliwy nad wyraz, wprowadził do swojej szkoły żonę.

W Zielonej więc turkotały koła fabryk, buchał dym z ich kominów bezustannie. Rafał początkowo cieszył się tym ruchem, poświęcał mu cały swój zapał, ale powoli, wygody życia, w jakich opływał, poczęły ten zapał studzić.

Szultze i Hofrat stali się panami położenia. Rafał w końcu udawał tylko, że pracuje; studyował Szopenhauera, do fabryk zaglądał rzadko; zdawało się, że cały świat przestał go zajmować.

Dawne frazesy i idee wybiegały z ust jego wtedy tylko, gdy się znalazł w liczniejszym towarzystwie; w rzeczywistości jednak rachunek przedstawiał się inaczej, aniżeli w jego umyśle. Fabryki założone przez Szultzego stanąć musiały do konkurencji z produkcją wiedeńską, tak w cenie, jak i w wartości. Wpływało to na niżenie zapłaty robotnikom, a temsamem na zwiększenie się nędzy dokoła.

Rafała zastanowiło to nieco.

— Jakto?—zapytał Szultzego?—więc źle stoją nasze interesa?

— Nienajlepiej—odparł zapytany. — Rok ten zamknijemy deficytem, zniżymy znów cenę płacy; przyjdą czasy lepsze, to się znów podniesie.

— Żnów podniesie, naturalnie! — podchwycił Rafał, rad, że ma przynajmniej czem pocieszyć swoje zaniepokojone sumienie.

I rzeczy dalej szły swoim trybem. Fabryki nawet następnie dały znaczne zyski, ale o podniesieniu płacy robotnikom i mowy nie było.

Spółka nosiła tytuł „Rajewski, Brekman i Sp.” Gdy pokrzywdzeni zgłaszali się do Rafała z proś-

ba o polepszenie ich doli, zdecydował, iż idea pracy organicznej nietylko z jego strony domaga się poświęcenia, i taką mniej więcej przyjął petentów oracyą:

— Moi kochani, wiem ja, że wam ciężko, ale każdy początek jest trudny, trzeba czekać, trzeba się poświęcać; widzicie, i ja czekam i ja się poświęcam, ryzykuję kapitały, gdy wy—tylko pracę.

I tak wciąż rzecz szła dalej. Fabryki wznosiły się i szły w górę, ale wzrastała też i w okolicy nędza. Pomimo to Rafał był szczęśliwy zupełnie.

Ten dobry stan interesów nie wystarczał jednak do szczęścia Lizie i często bardzo między nią a mężem dochodziło do scen przykrych o najmniejszą nawet drobnostkę. Rafał i z tem się zgodził, i do tego się przyzwyczaił. W końcu doszedł do stanu bezwzględnej apatii, stał się prawie fizyologiczną maszyną, która je, pije, trawi, ale do odbierania żadnych wrażeń zdolną nie jest.

Młodym państwu Rajewskim Pan Bóg odmówił potomstwa. Lizę martwiło to niesłychanie; zaczęła się nudzić i szukać przyjemności, któreby ją od nudów wybawiły.

W Tarnowie urządzano wielki bal dla ubogich. Liza życzyła sobie być na balu, i Rafał zadośćuczynić temu żądaniu musiał, tem więcej, że i Brekman i Szultze dali mu poznać konieczność spełniania życzeń tej biednej Lizy.

Wielkiego obywatela, fabrykanta, przemysłowca, przyjęto tam bardzo chłodno. Wszyscy trzymali się względem niego z pewną rezerwą, co zauważywszy, usiadł w kącie na wygodnym fotelu i począł się po sali rozglądać. Nagle szmer doleciał do jego uszów od strony drzwi wchodowych. Obejrzał się i ujrzał, jak grono młodzieży roztąpiło się, czyniąc wśród siebie drogę do przejścia dla kogoś.

Przez tak utworzony szpaler na salę wkroczyła prześliczna kobieta w całym blasku swego majestatu, obsypana brylantami na włosach, szyi, rękach, w kostiumie, którego wartość wysoką najmniej nawet wprawny wzrok ocenić mógł odrazu.

Wszystkie głowy schyliły się ku ziemi przed przybyłą, za którą szedł krokiem wolnym, niepewnym łysy starzec, ledwie posuwający nogami.

Rafał osłupiał; zdawało mu się, że jakieś wdziałło z przeszłości stanęło przed nim; nie wierzył własnym oczom i przecierał je, chwycił się za fotel, na którym siedział, aby się upewnić, że nie śni i że przed nim stoi Jadzia, tasama, skromna niegdyś, Jadzia Chrucka, w której się kochał i której miłość obiecywał.

Nie mylił go oczy: to była ona.

Weszła na salę, dumnie obojętnym wzrokiem spoglądała po zgromadzonych, a dłużej zatrzymała go na twarzy Rafała.

Rafał nie wytrzymał tego spojrzenia; oczy przymknął, a kiedy je znów podniósł, Jadzi już w salonie głównym nie było.

— Kto jest ta pani? — spytał, obok stojącego młodzieńca.

— Nasza bogini, nasza piękność, pani Jadwiga Kasińska.

— Czy dawno jest mężatką?

— Od lat trzech.

— Hm, hm, — mruknął Rafał do siebie, dosyć szybko się jednak pocieszyła. O, Schopenhauerze, jak ty znasz dzielnie naturę ludzką!

Muzyka zagrała walca. Tańczące pary posuwały Rafała ku drugiej ścianie salonu. Zaledwie tam usiadł, gdy jakiś młodzieniec, ukończywszy taniec, tuż koło niego posadził Jadzię.

Rafałowi zabiło serce, ale w tej dawnej, skromnej i lekliwej Jadzi nie było już lęku i obawy. Ona natychmiast obróciła ku niemu swoją główkę i zawołała:

— Nareszcie, po latach trzech, spotykam pana. Umyślnie kazałam się tu posadzić, aby mu podziękować.

— Mnie? za co?...

— Och, czyżbyś pan zapomniął i o tem?

— Mówisz pani o dzieciństwach młodości?

— Nie, nie, wszakże znam pana, wiem jakim stałeś się poważnym człowiekiem. Tych strun,

tych dzieciństw, jak pan powiadasz, nie ośmieliłabym się poruszać dzisiaj.

— A więc?...

— Za co panu dziękuję?... Za pańską naukę życia. Szczególniej za tę ostatnią, którą opłaciłam łzami. Pamiętasz pan: było to w mieszkaniu pańskiej żony. Gdyby nie pan, czyżbym posiadała te brylanty, suknie od Wortha, wielbicieli, jednym słowem: szczęście, wśród którego mnie pan widziysz?

Ten opis szczęścia, który tak wyraźnie wybiegał z ust Jadzi, nie znajdował potwierdzenia na jej twarzy, wykrzywionej teraz jakimś bolesnym szyderstwem.

— Tak, tak—kończyła—panu to wszystko zawdzięczam.

— Doprawdy, nie rozumiem....

— Nie rozumiesz pan, a przecież to takie proste! Gonilam za ideałami, marzyłam o bardzo pięknych moze, ale i o bardzo pustych rzeczach. Pan sprowadził mnie na ziemię, zmusił do szukania tutaj szczęścia, i oto znalazłam je. Nie wiele to, doprawdy, kosztowało trudów. Trochę kokieteryi i zdobyłam sobie męża, patrz pan: oto tam stoi.

I Jadzia wskazała Rafałowi wachlarzem, opartego o filary sali balowej, starca.

— Ten pan?

— Tak, panie. Pana to przeraża?

— Bynajmniej, ale....

— Ale chciałeś pan powiedzieć: ten człowiek to śmierć, a pan jesteś życiem. Powiedziałbyś pan coś, co jest przeciwne jego wszystkim teoryom, coś, co według nas, nadzwyczajnych ludzi, jest najzwyczajniejszym absurdem. No, ale mniejsza o mnie, mówmy teraz o panu. Pan pewno jesteś teraz bardzo szczęśliwym?

Rafał milczał.

— Jakto, miałbyś mnie mistrz zawieźć?

— Nie, tylko nie wiem jak określić moje szczęście, abyś je pani lepiej zrozumiała.

— Poczekaj pan, może ja się dokładniej na to określenie zdobędę. Wygodnie pana na świecie: ot i wszystko.

— Nie, ideały, które świeciły mi w młodości, świecą i obecnie.

Jadzia wybuchnęła teraz gwałtownym śmiechem.

— A, dajże pan pokój! Oboje przyszliśmy do tychsamych rezultatów, choć oboje różnemi drogami. Myż mamy się okłamywać, my, którzy się tak dawno znamy? Po co tu słowa? Popatrz pan na mojego męża, — na mnie, na swoją żonę i siebie: a potem mów o naszym szczęściu!

Była to jeszcze jedna chwila, ale już ostatnia, w której Rafał spostrzegł ból Jadzi. Po niej jakim czasie ironiczny wyraz z jej twarzy zniknął, a uśmiech szczerości na niej zaigrał swobodnie.

— Tak, tak panie, pracujemy organicznie—przeplatając uśmiechem wyrazy, mówiła Jadzia,—wyglądamy oboje znakomicie, zdaje mi się tylko, że pańska żona,—wszak siedzi tam obok mojego męża—prawda? chyba także tego dzieciennego szczęścia nie doznaje, lecz tylko podobnego memu, poważnego, z brylantów i koronek zbudowanego. Nazywa się to wielkim losem życia. Panu to zawdzięczam i dziękuję.

Jadzia podniosła się z miejsca, oczy jej teraz błyszczały nienawiścią i z pogardą mierzyła od stóp do głów Rafała. Rafał uczuł ten wzrok, zrozumiał go, oczy spuścił i nie śmiał ich podnieść do góry; a kiedy podniósł, ona już w objęciach jakiegoś tancerza walcowała po sali.

— Ja przecież temu nie winien jestem—szepnął do siebie, chociaż sumienie mówiło mu: to ofiara twojego egoizmu.

Pani Liza zauważyła nazajutrz, że Rafał był bardzo blady, zdenerwowany i skutkiem tego reprezentant wzniosłych idei zmuszony był połknąć kilka filiżanek pomarańczowego kwiatu.

Kwiat pomarańczowy wiele jednak nie pomógł. Liza zauważyła w swoim mężu powiększającą się gorączkę. Namawiała żonę do szybkiego opuszczenia miasta, ale ona uparła się — i został.

Dusiło go miejskie powietrze, a właściwie drażniły wspomnienia lat ubiegłych; drżał prawie z obawy, aby nie spotkać innej jakiej ofiary swej wędrówki życiowej.

Przychodzili mu teraz na myśl wszyscy: i Badylski, i matka, i Marychna wreszcie, znajdująca się od paru lat w szpitalu, za którą kassa gminna Zielonej, a nie jej panicz, opłacała koszt leczenia i utrzymania.

To ostatnie wspomnienie najbardziej go ubodło.

— Tak, to z mojej strony niepięknie,—szepnął do siebie.—Wszakże ona uratowała mi życie, a ja niedowiedziałem się nawet, czy żyje; czas jednak zapomnienie nagrodzić, czas!—zawołał, za czapkę chwycił i cichaczem wybiegł z hotelu.

Przebiegł jedną, drugą uliczkę szybko, do szpitala dla obłąkanych doszedł i nieśmiało tam zadzwonił.

Otworzono mu niebawem i poprowadzono go do naczelnego lekarza.

Miejsce to zajmował jeden z dawnych kolegów Rafała.

— Janek — zawołał przybyły, chcąc się rzucić w objęcia kolegi, ale dawny towarzysz przypomniał sobie go sobie nie chciał. Nie pytał nawet o nazwisko i tylko rzekł:

— Czem mogę panu służyć?

— Przed paru laty, w szpitalu tym umieściłem obłąkaną.

— Jej nazwisko?

— Maryanna Szela.

— A, Marychna! jest, panie. Marzy bezustannie o swoim panie jakimś, o swoim jeziorze, polach i łąkach i kto wie, czy może nie lepiejby jej tam było.... W ostatnich czasach podupała na zdrowiu bardzo. Regulamin wprowadzić nie pozwala na odwiedziny, dla pana jednak uczynię ustępstwo. Służę.

Rafał postąpił za lekarzem. Coś go jednocześnie i wstrzymywało i pchało naprzód.

Weszli do sali waryatów. Rafał obejrzał się naokół i uczuł kilkanaście par oczu, które spozczyły na nim. Spojrzenia te męczyły go, doznawał wrażeń takich, jakby go brano na tortury.

— Człowieku marny—wołał jeden z waryatów—Jam jest Bóg twój, który dla ciebie dał się ukrzyżować; całe życie twoje nie starczy na odkupienie grzechów, ale krople krwi, które ciekną z mych ran, będą zbawieniem twojem.

— Nikczemni ludzie prześladowają mnie bezustannie,—wołał drugi obłąkaniec,—bo wiedzą, że skoro się z ich szponów wydostanę, szubienicę i gilotynę postawię na ziemi, na tronie ognistym zasiadę, i wyniszcze całe to plemię gadzin, które mnie od tronu mojego ojca odsunęło.

— Rzuciłem ludzkości światło, kiedy słońce zagasło—wołał znów trzeci—otworzyłem jej drogę do odkryć i wynalazków, dałem miliony w rękę: a oni, nikczemni, niewdzięczni pozbawili mnie oczu, i oto chodzę ślepy, szukając dróg napróżno...

Nagle lekarz zatrzymał się przed jednym z waryatów, który, machając na wszystkie strony rękoma, naśladował ustami turkot kół fabrycznych.

— Gdyby można było klasyfikować tych ludzi według natury ich obłądów rzekł lekarz, salę tę nazwałbym salą zawiedzionych nadziei, zapoznanych gieniuszów. Życie nie dało im tego, czego się spodziewali. Ten machający rękoma to najciekawszy okaz: posłuchaj go pan.

— O ludzie—wrzeszczał wskazany—gdzież wy idziecie? Dlaczego nie słuchacie głosu kół mojej fabryki?... Ta, ta, ta, ta.... ona jest wszystkim na ziemi, odrodzi świat cały i was.... ta, ta, ta, ta.... Na niej wesprze się cała ludzkość, ona zastąpi myśli i uczucia, rozum i serce.... ta, ta, ta, ta....

— Nie, nie, chodźmy ztąd! — zawołał gwałtownie Rafał.

Ten waryat mówił to samo, co on. A doktor tak mu dzieje owego waryata opowiadał:

— Cały majątek zmarnował, setki ludzi do kija zebraczego doprowadził i, zrobiwszy sam najpierw olbrzymi majątek, uszczęśliwił siebie zamiast ludzkości. Niema uczucia, którego-by nie zdeptał, niema przesady, którego-by dla dłuta i kielni nie poświęcił. Gdy majątek stracił ludzie nim pogardzili, a zostały mu tylko wielkie frazesy w ustach.

Teraz chodźmy zobaczyć oddział kobiet; tam spotkasz pan tę biedną dziewczynę.

Zaledwie przestąpili próg tego nowego oddziału, do ręki doktora poczęły się cisnąć nieszczęśliwie.

— One mnie tak zawsze witają, jedna tylko nie zbliża się nigdy niewolana.

— Marychna — zawołał doktor.

Z kąciaka wyszła i przed nimi stanęła dziewczyna, nieprzypominająca w niczem tego hoźego dziewczęcia, które temu lat kilka ratowało Rafała wśród śnieżnej zameci. Rafał myślał, że go oszukano, gdy nagle ozwała się piosenka:

Sokoliku miły, przyslij do mnie swata;
Sokoliku jasny, czym ja nie bogata?
Mam pod oknem ogródeczek
I ruciany mam wianeczek:
Czyż tego nie dość?

Piosenka wyjaśniła Rafałowi wszystko. Gdy i drugą strofkę prześpiewała Marychna i zapytała głupkowato:

— Panicz nie przyjechali po mnie?

— Marychna — szepnął Rafał.

— Co chcecie? Słyszeliście co może o moim panicu... Odwiozł mnie tutaj wczoraj, zostawił, ale zaraz przyjdzie. On taki dobry, do naszej chaty zachodził, dobre słowo każdemu powiedział, on tutaj przyjdzie. Usiądę z nim na chmurkę i pojedę het, daleko, do nieba, gdzie mu Bóg Ojciec da pałac z bursztynu, a aniołkowie tak ładnie śpiewać będą. Tam i nasze jezioro i dobra starsza pani i panienka się znajdzie... Matka Boska da kawalek sukmanki nakrapianej gwiazdkami, Marychna wtedy taka piękna będzie, że panicz ją jeszcze bardziej pokocha.

— Marychno — powtórzył Rafał, — to ja, nie poznajesz mnie?

— Nie, nie, ja was nie znam. Panicza mi zawołajcie, panicza mego, złocistego sokolika, gołąbka mego.

Nagle zatrzymała się. Oczy jej kołem stanęły, ręce wyprężyła naprzód i krzyknęła tak przeraźliwie, że aż służący ku niej przybiegli, sądząc, że dostała nagłego napadu furi.

— On!... on!... panicz! ale nie ten... nie mój!... — zawołała i krew obfitym strumieniem rzuciła się jej ustami.

Krzyk sprawił pęknięcie tętnicy w gardle. Doktor krwotok tamował, ale napróżno. Z coraz większym upływem krwi ubywało biednej Marychnie życia, ale przybywało przytomności; mówiła oczyma, patrząc na Rafała, malowała się w nich wdzięczność, miłość, owa niepojęta, bezdenna, która nawet w godzinę śmierci nie opuszcza tych, co mają serce i kochać umieją. Z tem spojrzeniem miłości skonała.

— Nie żyje — szepnął doktor.

— To znów ofiara twojego egoizmu — zawołało do Rafała sumienie. Nieprzytomny wybiegł ze szpitala; w głowie mu się kręciło, ślaniał się na nogach jak pijany.

— Słuchaj — zawołał do żony, wpadając do hotelu — jeżeli ztąd nie wyjedziemy natychmiast, ja nie ręczę, czy sobie w łeb nie palnę. — A powiedział to z taką prawdą i energią, jakich nigdy dotąd nie zauważyła w nim Liza. Przerazona więc, zebrała się szybko i kazała zaprzęgać. Na dworze padał śnieg i wiatr ostry wiał gwałtownie.

— Ruszaj — zawołał Rafał, wskakując szybko do sanek.

— Rafale, boję się — drząc od zimna i wiatru zawołała Liza kiedy sadowiła się koło niego.

Sanki pomknęły. Rafał, jakgdyby mu było wśród tego wiatru i śniegu jeszcze zagorąco, futro rozpiął, piersi odsłonił, czapkę zdjął i, garściami chwytając śnieg z ziemi, do rozpalonych swych skroni przykładł. Przerazona tem wszystkim, Liza nie śmiała rzeknąć ni słowa; jakby martwa siedziała w saniach, oddychając niespokojnie i przymykając oczy.

Po kilkogodzinnej szalonej jeździe konie stanęły przed gankiem w Zielonej. Rafał wyskoczył z sanek, ale Lizę trzeba było z nich wynieść. Niebawem przekonano się, że przeziębienie jej było bardzo groźne. Posłano po lekarza, który stwierdził silne zapalenie płuc.

Rafała ogarnęła taka apatya, że nawet nie dowiadywał się do pokoju chorej żony; raportu lekarza wysłuchiwał milczący. Natomiast ubrał się, z mieszkania wyszedł i począł obchodzić wszystkie domki i wszystkie chaty Zielonej i odkąd już coraz bardziej ponurym się stawał.

Kiedy dawniej tutaj zaglądał, nie widział ani dzieci nagich, ani kobiet wycieńczonych pracą, ni nędzy, ni głodu.

— Gdzież to bogactwo, o którym marzyłeś dla wszystkich, gdzież ta światłość, która miała przez ciebie zabłysnąć i stać się środkiem do szczęścia ludzi?

— Zniszczyłeś im dawne środki zarobku, a dałeś nowe, które na życie nawet nie wystarczyły. Ich nędza, to twoje dzieło! — mówił głos wewnętrzny do Rafała.

Był on niejako dopełnieniem tych głosów, jakie się odzywały w jego sumieniu przy spotkaniu Jady i śmierci Marychny.

Stał się jeszcze bardziej przybitym i ponurym. I tak chodził codziennie, i tak na wszystko patrzył i tak ciągle rozmowy ze swoim sumieniem prowadził.

Po paru dniach doktor oświadczył, że każdej chwili można się spodziewać śmierci Lizy. Wyzdrowienie jej zaliczał do cudów.

Rafał raportu tego wysłuchiwał również obojętnie. Poszedł do żony, chwilę postął przy jej łóżku, pocałował ją w czoło chłodnymi ustami i wyszedł.

Zachowanie się zięcia oburzyło do najwyższego stopnia hofrata, nieodstępującego ani na krok od łóża córki.

— Kanalia! — syknął przez zęby, gdy Rafał wyszedł. — Gdyby nie ona, z torbami-by poszedł.

Rafał tymczasem kazał służbie podać sobie klucze od dolnych pokoi, zamkniętych od śmierci jego matki, otworzył je, potem wbiegł i drzwi za sobą zatrasnął, zbliżył się szybko do stojącego w kątku łóżka, zgiął przed nim kolano, oczy rękami zasłonił i tak nieruchomy, głowę na pościel położył.

O czem myślał?

O ostatnich chwilach tej, która tutaj skonała; o jej błogosławieństwie, miłości; zapomniawszy o całym świecie, o swoich zamiarach, nadziejach, które sam tak szybko rozwił, wreszcie o latach młodości i zapału.

Wszystko to tak zajęło jego umysł, skupiło uwagę, że nie usłyszał nawet, jak drzwi zlekka się otworzyły, a przez nie wszedł do pokoju Szydlik.

Przybyły spojrzał na klęczącego, uśmiechnął się łagodnie a smutnie, przystąpił do niego bliżej i, kładąc mu rękę na ramieniu, zawołał:

— Ty się modlisz?

Rafał zerwał się z miejsca, ręce złożył na krzyż i wyprostował je potem tak, że aż w stawach trzeszcze zaczęły. Serce rwało mu się do towarzysza młodości, a duma nie pozwalała ręk do niego wyciągnąć. Usposobienie to odgadł Szydlik, bo rzekł:

— Interes mnie tu sprowadza.

— A, interes — to słuszne.

— Inne bogi dawno już ztąd wypędził. Dla tego jednego wypadało mi i mogłem próg twego domu przekroczyć.

— Przyszedłeś do mnie z interessem: mów, czem ci służyć mogę?

— Jest to interes twojej siostry, Józki. Wiesz że dorasta, obowiązek opiekuna każe mi czuwać, nie tylko nad nią samą, ale i nad jej majątkiem. Obowiązany jestem wiedzieć co ma i do czego się w przyszłości zastosować musi.

— Dlaczegoż tylko pytasz o majątek Józki: przecież i Anielka do takiej samej części, jak ona, ma prawo.

— Widzisz, Anielka może stracić wszystko, bo jest pełnoletnią, bo jest moją żoną; Józka to sierota. Rzeczą mojego sumienia jest, a mniemam także i twojego, pomyśleć o tem, żeby nie została bez grosza.

— Sądzę, żeś o tem chyba jeszcze nie wątpił, iż obowiązek mój spełnię.

— Tak, ale ludzie często nie zależą od siebie. Ja nie wiem, jak ciebie okoliczności postawiły

w ostatnich czasach, i oto dlaczego tutaj przed tobą stoję

— Jeżeli ci mam prawdę wyznać — odrzekł Rafał — i ja nie badałem tego gruntownie. Ale pomówię z hofratem, z Szultzem, i postaram się, aby posag Anielki i Józki znalazł się jaknajprędzej w waszych rękach.

— Pamiętaj, Rafale, że to grosz sierocy, — szepnął Szydlik.

— Nie potrzebujesz mi tego przypominać — odparł wyniośle Rafał — to grosz sióstr moich.

— Spełniłem zatem swój obowiązek; pozostaje mi już tylko, gdy usłyszał pożądaną odpowiedź, pożegnać cię — zawołał Szydlik.

— Już idziesz? — szepnął Rafał, a w głosie jego odbił się znów tensam żal, który Antoni spostrzegł zaraz po swoim przybyciu. Zwrócił się więc do tego zmarnowanego człowieka, rękę ku niemu wyciągnął i dodał już z większą serdecznością:

— Bądź zdrow, wołają mnie obowiązki — moje abecadło. Jeżeli ci bardzo twój świat i ludzie dokuczają, jeżeli się uczujesz nieszczęśliwym, zajrzyj do nas, a przekonasz się, żeś odnalazł kamień filozoficzny, o którym marzyliśmy w młodości, i żeś szczęśliwy.

— Szczęśliwy — w zamyśleniu powtórzył Rafał; Szydlika już jednak w pokoju nie było.

Usiadł więc na fotelu przed biurkiem i powrócił do swoich dawnych rozmyślań.

Nagle z tej zadumy przebudził go krzyk, a potem szloch głośny.

— Co się tam stało? — zapytał prawie spokojnie wbiegającego do pokoju lokaja.

— Pani umarła, była krótka odpowiedź.

— To niepodobna!

— Przed chwilą proszę jasnego pana. Pan baron tarza się po ziemi, włosy z rozpaczki sobie wyrывa.

— Umarła! — powtórzył Rafał i spokojnym, mierzonym krokiem pośpieszył do pokoju żony.

— A, łotrze! — zawołał ujrzawszy wchodzącego, baron — oddaj mi jedyne dziecko moje, zabrałeś ją, wziąłeś pieniądze i sumienia w tobie tyle nie było, aby ją od śmierci bronić! Przeciwnie, na śnieg na zawieruchę wywozłeś z miasta, aby ją zabić. Ciężko ci już, niegodziwcze, ale ja, jak cię uratowałem od kija żebraczego, tak cię z torbami ztąd wypuszczę!

— Panie Brekman — syknął przez zęby Rafał — zastanów się pan, co mówisz.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 6 Sierpnia, 1889 r.

Cel i znaczenie Wystawy Paryżkiej, jej rozmiary, koszt, bilety wejścia (*tickets*). — Koszta budowy wieży Eiffela. — Wewnętrzna organizacja wystawy. — Przewodnik. — Pałac Trocadero i jego ogrody. — Wystawa *retrospektywna* sztuki francuskiej. — Ogrodnictwo. — Pawilon leśny. — Most Jena. — Wejście na Pole Marsowe. — Historia mieszkań człowieka. — Użytek naukowy z wieży Eiffela. — Olbrzymia panorama zakładów nafty. — Pałac sztuk wyzwolonych. — Wystawy obcych krajów. — Srebra Stanów Zjednoczonych Ameryki. — Wyroby złotnicze z Rosji; przezroczyste emalie. — Inkrustacje hiszpańskie z Toledo. — Wydział francuski. — Galeria maszyn. — Jeszcze inne wystawy. — Pałace i pawilony Pola Marsowego. — Plac Inwalidów. — Zakłady rządowe i kolonialne. — Gmach Ministerium Wojny. — Egzotyczne wystawy i dziwadła. — Cyganie. — Ulica Kairu. — Żywe dodatki do wystawy.

W ostatnich dwóch listach swoich dałem już poznać czytelnikom *Bluszczu*, jaką jest w ogół-

nych swych zarysach Wystawa Paryzka. Przygotowani w ten sposób, macie przed sobą jakby kanwę, szkic ogólny tego, co się zowie *Wystawą powszechną międzynarodową paryzką*, za którą, miarkując z dzienników tutejszych i obcych, świat cały przepada—bo podrażniona wyobraźnia tem jej cudniejsze nadaje rozmiary i postać, im ludzie się dalej od niej znajdują.

Dziś, na tej pierwotnej, ogólnej kanwie, aby zaspokoić, choć w części, waszą ciekawość, pozostaje mi tylko wyraźniej zarysować, i oznaczyć niektóre główne punkta—niżej zobaczycie, dlaczego nie wszystkie—i rzucić na nie jasne i czyste światło w taki sposób, abyście bez przesady poznali, jakim jest to olbrzymie dzieło, które stworzyła, zamożna we wszystkie materyalne i duchowe zasoby, Francja.

Dla tego, kto zdaleka czy zblizka przychodzi na tę wystawę, dwa są sposoby zwiedzania jej: albo dla nauki, albo dla zabawy. Na tej zasadzie zresztą oparte było i samo urządzenie wielkiego popisu.

Człowiek uczony, lub człowiek światowy, znajdzie tu naukę i zadowolenie. Przemysłowiec, spotka tu wszelkie modele i przykłady, z których może skorzystać, przyswajając sobie to, co się w nich znajduje nowego; światowiec poweźmie wyobrażenie ogólne i prawdziwe o tem, w jakim postępie znajdują się dzisiaj te prawdziwe cuda, któremi nowożytny przemysł wzbogaca świat cały—słowem: pierwszy z nich znajdzie tu sposób wzbogacenia się, drugi—zaspokojenie potrzeb lub fantazyi.

Artysta kształci tu swój smak i nowe odkrywa drogi dla swego talentu. Amator wyrabia sobie ściślejsze i prawdziwsze pojęcie o doskonałości przedmiotów, których poszukuje jego ciekawość lub zamilowanie. Z tego punktu patrząc na tę wystawę i dając sąd o niej, możnaby całe tomy zapisać. Ale zostawiając uczonym i przemysłowcom z profesyi to, co ich głównie pociąga na tej wystawie, my ograniczymy naszą działalność do tych jedynie szczegółów, które mogą i powinny zająć światłego profana.

A najpierw, aby stworzyć rzecz porządną i dać wyobrażenie o wielkości i ważności wystawy, powiedzmy tu słów kilka o kosztach, jakich wymagało wytworzenie tego przedsięwzięcia.

Wystawa 1889 r. zamyka w sobie: Pałac i ogrody Trocadero na prawym brzegu Sekwany, Pole Marsowe, całe wybrzeże (Quai) d'Orsay, zaczawszy od Alei Suffrena do pałacu Ministerium spraw zagranicznych, i Placu Inwalidów na lewym brzegu. Zajmuje więc przestrzeń wynoszącą około 70 hektarów—to jest 700.000 metrów kwadratowych. Wystawa ostatnia 1878 r. pokrywała tylko 50 hektarów. Obliczono, że wytrzymały piechór, któryby chciał wszystko zwiedzić: galerye, pałace, pawilony i t. d., musiałby odbyć drogę długą na czterdzieści najmniej kilometrów. Piękna, jak widzicie, przechadzka!

Wystawa tegoroczna jest siódmą z kolei wystawą powszechną, a piętnastą wystawą narodową. Pierwsza, odbyta na temże Polu Marsowym w r. 1798, miała tylko 110 wystawców; dzisiejsza liczy ich 38.000!

Wydatki na urządzenie wystawy obliczone były pierwotnie na 43 miliony franków, już po potrąceniu wartości tych materyałów, które sprzedać będzie można.

Kraj, to jest skarb publiczny, przyjął udział w tych wydatkach w ilości 17 milionów; miasto Paryż dało 8 milionów—a resztujących 18 milionów dostarczyło stowarzyszenie tak zwane „gwarancyi” któremu miały być ustąpione wszelkie dochody z miejsca na wystawę, aż do wyrównania wysokości udzielonej pożyczki.

Zaniechano później takiego urządzenia strony pieniężnej przedsięwzięcia i z „Crédit Foncier” d. 20 Marca 1889 r. umowę, która pozwoliła wytworzyć nowe stowarzyszenie w miejsce niedoszłego *Stowarzyszenia Gwarancyi*.

Nowa kompania spłaciła dawniejszą i wlała nadto do kasy wystawy: 3 miliony 500.000 franków dodatkowego kredytu,—co podniosło kapitał rozchodowy do summy 46½ milionów franków. Wzamian nowe stowarzyszenie otrzymało od skarbu upoważnienie do wypuszczenia na summe

trzydziestu milionów franków biletów wejścia na wystawę i urządzenia loteryi.

Te 30 milionów biletów, które wypuszczone zostały 15 Kwietnia b. r. w obligacjach z kuponami po 25 biletów każdy, w formie tak zwanych: „Bons-Tickets” po 25 fr., bez procentów, ale mających się wylosować w 81 ciągnięciach loteryi (z których 6 zostaną wyciągnięte w czasie wystawy, a reszta płatna „au pair” w ciągu lat 75).

Ten bardzo zręczny obrót finansowy tak zapalił Paryżanów, że literalnie *bito się*, aby się docisnąć i złożyć przedpłatę. Dziś te bilety sprzedają się po 40 cent, ale towarzystwo odebrało integralnych 30 milionów, a posiadaczom kuponów oprócz wejścia 25 razy na wystawę, zostaje albo pewność odzyskania 25 fr., albo nadzieja ogromnej wygranej 500.000 fr.—jeśli płocho fortuna da się złapać za kosę!

Mówiąc o kosztach wystawy, wypada też powiedzieć, ile kosztowała sławna wieża Eiffela.

Kosztowała okragło 6.500.000 franków.

Oto szczegóły wydatków:

Fundamenta i mury	900.000 fr.
Żelazo, składanie i t. d.	3.800.000 „
Czterokrotne malowanie	200.000 „
Windy i maszyny	1.200.000 „
Różne urządzenia wewnętrzne, restauracya, i t. d.	400.000 „

Summa 6.500.000 fr.

W tej summie 6.500.000 skarb publiczny figuruje z zaliczeniem 1.500.000 fr., a miasto Paryż dało bezpłatnie grunt pod warunkiem, że po latach 20 od czasu zamknięcia dzisiejszej wystawy wieża stanie się własnością skarbu państwa (*état*).

Tymczasem Stowarzyszenie kapitalistów jest dziś właścicielem wieży. 5.000.000 frank. stanowi kapitał, którego połowa w akcyach wręczona została p. Eiffelowi. Widząc, jak się ludzie drapia na tę wieżę, tak, że się nawet biją u jej podnoża, jak przy owej niegdyś babilońskiej—śmiało powiedzieć można, że cały ten podpisany kapitał w tym roku zostanie umorzonym. A że ten pomysł Eiffela był doskonałym finansowym konceptem—dowód tego mamy w następującym wykazie—jeżeli tylko mówią prawdę ogłoszenia urzędowe z wieży...

Dochód od 15 Maja do 23 Lipca 2.183.249 fr. 65 c.
„ od 24 Lipca do 30 Lipca 228.489 fr. 50 c.

Summa: 2.421.739 fr. 25 c.

Aby temu olbrzymiemu zbiorowi, tak różnorodnych przedmiotów, jakim jest wystawa nadać pewną i jasną klasyfikacyą, podzielono ją na dziewięć głównych oddziałów, którym nadano tytuły grup.

Oto ich wyszczególnienie dokładne:

- Grupa I. Dzieła sztuki od 1-ej do 5-ej klasy.
- Grupa II. Wychowanie i nauka. — Materya i środki wykonania sztuk wyzwolonych (od 6-ej do 16-ej klasy).
- Grupa III. Sprzęty i ich akcesorya (od 17-ej do 29-ej klasy).
- Grupa IV. Wyroby tkackie i akcesorya (od 30-ej do 40-ej klasy).
- Grupa V. Przemysł ekstrakcyjny. — Surowice i wyroby (od 41-ej do 47-ej klasy).
- Grupa VI. Narzędzia i sposoby przemysłu mechanicznego; elektryczność (od 48-ej do 66-ej klasy).
- Grupa VII. Produkta pokarmowe (od 67-ej do 73-ej klasy).
- Grupa VIII. Rolnictwo, winnice i rybołówstwo (od 74-ej do 77-ej klasy).
- Grupa IX. Ogrodnictwo od 78-ej do 83-ej klasy).

Tak więc—jak mówiłem—wystawa ta zawiera cały materyał olbrzymiej encyklopedyi pracy ludzkiej. Brak w niej tylko literatury i polityki.

Pokazuje ona dotykalnie,—czem żyje, czem się odziewa, gdzie mieszka, co robi człowiek naszego wieku. Można powiedzieć bez przesady, że na tę wystawę świat cały przyniósł i złożył to, co miał. Tak, naprawdę świat cały, bo nawet Niemcy figurują na tej wystawie, przynajmniej w I-ej grupie, gdzie malarze i rzeźbiarze stanęli licznie do konkursu.

Aby objąć odrazu, za jednym spojrzeniem, cały ogrom tej wystawy, potrzeba—jak to wskazałem w poprzednich listach moich—stanąć na wyniosłych wzgórzach prawego wybrzeża Sekwany i z wysokości pałacu i ogrodów Trocadero objąć okiem całą przestrzeń, którą zapełnia wystawa na płaszczynach lewego brzegu.

W samym zaraz pałacu Trocadero,—w jego prawem skrzydle, mieści się zbiór nieoceniony pamiątek wszelkiego rodzaju, pod zbiorowem nazwiskiem: *Exposition retrospective de l'art français*. Tem, dzięki uczynności wszystkich posiadaczy narodowych pamiątek, zgromadzono ogromną ilość złotniczych wyrobów—po większej części ozdób kościelnych, zaczawszy od czasów świętego Ludwika do naszej epoki. Są to, po największej części, arcydzieła w tym rodzaju, bo napływ przedmiotów był tak wielki, iż musiano się ograniczyć do rzeczy kapitałowych, do prawdziwych już arcydzieł. Jest też w czem się rozpatrzyć i czem się lubować. Nie śmiem nawet dotykać zlekka tego przedmiotu, z obawy, abym nie wyrzucił baka, dając pierwszeństwo jednemu okazowi przed drugim.

To, co tu uderza przychodnia na pierwszym kroku—są to ogromne odlewy, olbrzymie pomniki średniowiecznej sztuki. Muzeum odlewów (*Musée des moulages*) dostarczyło tu okazów, na które chciałbym ściągnąć całą waszą uwagę. Dokonano tu tego prawie cudu, że postawiono przed oczy ciekawych, w całej, zupełnej ich wielkości, olbrzymie fragmenta, nie tylko najciekawszych, najwspanialszych pomników architektury we Francji: jak wejście do klasztoru świętego Trofima, wrota katedry w Châtres, w Veselay i t. d. — ale takie odłamy z indyjskich pagód w Pondichery i takie niestylchane fantazyje architektoniczne z kraju Anamitów.

Opuszczając pałac i przenosząc się do jego ogrodów, znajdziemy tu wystawy ogrodnicze, których przepych, blask i bogactwo — przechodzą wszelkie wyobrażenie. Od dziwacznych ogrodów japońskich, o których mówiłem już wam dawniej, aż do uprawy we Francji najrzadszych kwiatów i krzewów—niczego tu nie braknie.

Tuż obok tych cieplarni przenośnych, gdzie najwspanialsze kwiaty zalegają całe przestwory, znajdziemy pawilon leśny — zbudowany i upiękaszony wewnątrz z wielką wytwornością. Składa się on jedynie ze wszystkich gatunków drzew, jakie rosną w lasach samej Francji. Drzewa te, obrobione i odpulitorowane nazewnątrz, piękny przedstawiają widok i świadczą o bogactwie leśnym tego szczęśliwego kraju. Wewnątrz też umieszczono rysunki—obrazy, widoki dyoramiczne mające związek z przemysłem leśnym.

Zostawiając za sobą pałac i ogrody Trocadero, gdzie jest jeszcze wiele innych rzeczy do widzenia, jak np. sławne *aquarium* i t. p. znajdziemy się na moście d'Yéna—pamiątka to sławnego zwycięstwa odniesionego nad Prusakami pod Jeną—który w 1867 roku starano się, przez wielką grzeczność, omijać starannie, wioząc na wystawę starego Wilhelma. Jest to główne wejście na Pole Marsowe i na wystawę. Tuż przy wejściu stanęła owa sławna wieża Eiffela, a po obu jej stronach, wzdłuż wybrzeża Sekwany — wznoszą się rozmaitych kształtów budowle. *To historia mieszkani ludzkich*.

Niestety! jest to najslabsza strona wystawy. Sławny architekt wielkiej opery, p. Garnier, który zaprojektował to tak ponętne przedsięwzięcie, w wykonaniu pozostał daleko, daleko od swego ideału. Widocznie, braknie nam jeszcze materyału — to jest, jak dziś powiadają: dokumentów o pierwotnych mieszkaniach człowieka i o całym ciągu transformizmu, od pierwotnego szałasów lub jaskini—aż do pałaców dzisiejszej wystawy. Zrobiono więc, przez przypuszczenie, co się zdawało najpodobniejszym do prawdy i oto, zamiast uczącej i wiernej historyi, mamy przed sobą fantazyje, owoc wyobraźni architekta Garniera.

Nie wdaję się w szczegółowe opisy wieży Eiffela, o której dosyć się już powiedziało i tu, i w listach poprzednich; ale sprawiedliwość wymaga, aby też nie zapomnieć o użytku, do jakiego posłużyć może ten olbrzym olbrzymów, który wznosił

ręce ludzkie; wiadomo bowiem, że ta wieża jest najwyższym budynkiem na ziemi.

Pierwszy to raz nauka znajduje się w posiadaniu stałej wysokości 300 metrów i dzięki temu może już teraz sprawdzić doświadczeniami prawidłami następujące swoje dane: prawo o spadaniu ciał ciężkich w powietrzu; opór powietrza przy rozmaitej szybkości ciał w biegu; prawo sprężystości powietrza; zasady ściśliwości gazów i pary; prawo ruchu wahadeł; może wprowadzić doświadczenie dotyczące obrotu ziemi, a na koniec ma dogodne warunki do obserwacji: *astronomicznych, meteorologicznych i nawet strategicznych* w razie ruchów wojennych. Gdyby z tych wszystkich rodzajów doświadczeń—jedno choćby tylko dało się wykonać dokładnie, jak na przykład, badania nad prawem spadania ciał ciężkich albo nad prawem obrotu ziemi—jużby wzniesienie tej wieży znalazło przyczynę bytu usprawiedliwioną aż nadto: muszę więc wyznać z pokorą, że pierwszy sąd mój był mylny—i dlatego biję się w piersi.

Jesteśmy więc na Polu Marsowem. Nie wracam do opisów, które podałem już dawniej; nie będę mówił o wspaniałości budowli, które zapełniają tę ogromną przestrzeń. Przechodzę wprost do olbrzymich szczegółów wystawy.

Jakgdyby żadna gałąź nauki i przemysłu, nie miała być pominięta—znajdziemy je tu wszystkie. Oto, na przykład, nafta — jedno z najcenniejszych odkryć naszego stulecia — która tak ogromne miejsce zajmuje dziś w historii pracy ludzkiej — staje tu do popisu w całej swej pełni — z prawej i lewej strony Mostu Jena. Na lewym brzegu Sekwany wznosi się olbrzymia panorama, na bardziej jeszcze olbrzymim zapasie (*réserve*) i na okalających ścianach tego potężnego *Oil-tank*, jak to zowią Amerykanie—rozwijają się obrazy tej panoramy, malowane przez specjalistę p. Poilpot'a.

(Dokończenie nastąpi).

„RAPSD DYMROWICZ”.

Królowa rumuńska nie wypoczywa na zdobytach laurach.

Świeżo u Emila Straussa w Bonn pojawiła się nowa jej książeczka, zatytułowana „Rapsod Dymrowicz” (*Der Rhapsode der Dimbowitz*).

Jest to zbiór piosenek, z których jedna piękniejsza od drugiej, a wszystkie to mają wspólnego, iż wytryskują ze źródła poezji ludowej.

Carmen Sylva chętnie i często do niego sięga. Umysł jej szuka tam pokrzepienia i odświeżenia—któżby ich nie potrzebował? — a upodobanie to przynosi z drugiej strony także ogólniejszą korzyść, dzięki jemu bowiem, poezja ludowa rumuńska tak mało znana, a właściwie zgoła nieznana, wchodzi, przynajmniej w szacie niemieckiego przekładu, na szerszą widownię.

„Rapsod Dymrowicz” urodził się nad brzegami tej Wisły rumuńskiej, w pięknej i żyznej dolinie, rozpostartej, jak drogocenny dywan, ustóp Karpat.

Rozproszony na drobne piosnki, żył on w ustach wieśniaczych, zanim go pióro przeniosło na papier; dźwięczał pod strzechą chłopską, w świetlicach niewiast zajętych przy kądzieli, w gospodach rojących się o tłum dziewcząt i chłopaków przy tańcu, na szerokich łąkach wśród żniwiarzy, w ustroniach leśnych, gdzie dziwożona rozciąga złote swe sieci...

Teraz drobne perełki nawiązano na jedną wstęgę, ulotne dźwięki w jednym zbratały się akordzie.

Stanowisko Carmen Sylwy utrudniało jej pracę. Stanowisko to zbyt wysokie, aby dozwalało królowej samej stać się niejako pszczołą, która miód pieśni ludowej znosi do ula.

Wyjęczyła ją w tem przyjaciółka, pani Helena Văcărescu. Ona to szła w chłopskie sadyby, od których królową dzielił wysoki parkan dostojeństw i jeszcze wyższy — etykiety; ona z mrowczą cierpliwością gromadziła okrucich po okrucich, aż, uzbierawszy spory zapas, oddała swe plony największej poetce pomiędzy królowami i bodaj czy nie jedynej dziś królowej między poetkami.

Książkę tę przełożyła Carmen na język niemiecki i oto, jak powstał „Rapsod Dymrowicz”.

Co do charakteru i genezy onych piosenek, pociąga nas wstęp, pióra ukoronowanej dyademem i wienem laurowym autorki.

Zrywają się one z duszy śpiewaka sielskiego, jak wiatr stepowy, który sam nie wie, z kąd powstał i dokąd zdąży. Pieśniom wtóruje muzyka; brzmią przy dźwięku instrumentu podobnego do mandoliny, a są zbudowane w strofach nierymowanych i tak swobodnych co do rytmu, iż niejednokrotnie razi on prawie nasz słuch nadmierne wydelikacjon. Rodzaj to recytawów, oczywiście, często improwizowanych w chwili samorodnego natchnienia.

Czarująca, heleńska niemal, naiwność idzie w nich o lepsze z siłą i głębookością uczucia i działa na czytelnika orzeźwiająco, jak świeży powiew lasu na płuca udęczone duszną atmosferą miasta.

W budowie swej mają pieśni „Rapsodu” to szczególnego, iż poprzedza je zawsze kilka wierszy, zwykle reflexya jakaś, — które powtarzają się znów w końcu; w treści zaś, podobnie jak to niemal wszędzie czyni pieśń ludowa, zajmują się one przeważnie miłością. Ton ich wogóle smutny, niekiedy nawet ponury. Wyjątkiem jest, jeśli się ożwie tu i owdzie wesola, skoczna nuta.

Jako przykład, przytaczamy jedną z najcenniejszych tego zbioru piosenek, której właściwości staraliśmy się zachować aż do... braku rymów.

Nosi ona tytuł: „Wdowa”, a opiewa, jak następuje:

Słoneczko skryło się gdzieś w dal za łąki,
A łąki drżą, bo słońce w sobie kryją.
Gdyby zapukał do drzwi kto wieczorem,
Myślałabym, że on powraca do mnie.
Potem-by na myśl przyszło mi: „On umarł,
Więc to jest tylko jego droga dusza,
Co wraca tu”.

Prosiłabym tę drogą duszę,
By weszła otwartymi drzwiami,
By chciała się przybliżyć do mnie.
Zapytałby zaś drogi duch:

„Co słyhać, z dziećmi memi, co ze zbożem i co [z łąką?”

Odpowiedziałabym mu wnet,

Że całkiem dobrze im, —

By mógł spokojnym być i usnąć znowu:

Niech tylko drogi jego duch nie pyta nigdy:

„Co dzieje się z troskami twojej duszy?”

Bo wówczas. — zmarłych nikt nie okłamuje —
Rzec-był musiała: „Nie są uleczone.”

A wtedy jego drogi duch

Spokojnie nie zdołałby usnąć.

I gdyby chciał odemnie kiedy żądać kwiatów,

To chętnie kwiaty dam;

Niech tylko nigdy jego droga dusza

O napój nie poprosi mnie,

Bo zmarłym nic innego pić nie można

Jak ży, a nie chcę, aby spostrzegł,

Że to są moje własne ży.

Pokażę ja mu chętnie jego dom

I jego dzieci,

Bo żadne z nich się nie zmieniło;

Tylko niech drogi duch ten nie zapragnie

Także i moje widzieć znów oblicze,

(Umarli mają dobry wzrok!)

Wówczas-by ujrzał rozpacz na mej twarzy.—

Ach! gdyby w wieczór jego drogi duch zapukał [do drzwi,

To rze-cbym mu musiała chyba:

„Zupełnie dobrze jest mi już na sercu

I twarz też mam spokojną.

Ja ciebie zapomniałam,

Więc idź i usnij znów, bo zmarłym

Nie wolno przecie płakać...

Dobrze tu nam“...

I poszedłby naówczas jego drogi duch
W mogiłę swą,
Nie patrząc wcale wstecz,
I już nie powstałby ten drogi duch,
By pukać do drzwi moich wieczorami.
...Słoneczko skryło się gdzieś w dal za łąki,
A łąki drżą, bo słońce w sobie kryją.

Na taki rzewny ton nastrojone są niemal wszystkie pieśni „Rapsodu”. Czytając je, nie wiadomo, co bardziej podziwiać, czy szczerotę uczucia nieskalaną, czyli tę wyrazistość, z jaką ona ujawnia się w słowie.

Jeszcze jedno: królowa-poetką poświęciła zbioru swój cieniem jedyne dziecko.

Bo też drobne pieśni „Rapsodu” są w istocie jakby stworzone na to, aby dźwiękami swymi zarzucać pomost miłości i tęsknoty od świata żywych ku tajemniczemu, nieznanej dziedzinie — w górze...

St. R...

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Szerzenie się chorób zaraźliwych.

DROGI ŻELAZNE.

Gdy ze wszech stron rozpoczęte walkę z chorobami zaraźliwymi, w celu zmniejszenia ich lub zupełnego wytepienia, dziwić się zaprawdę przychodzi, że środki kumunifikacyjne, roznoszące zarazki na kolosalnych przestrzeniach i zagłębiające się w najodleglejsze zakątki, nie w tym kierunku prawie nie zrobiły. Kolej żelazne nie tylko pod tym względem są szkodliwe, że przewożą osoby dotknięte chorobą, z okolic porażonych, między zdrowych i w okolicie wolne od epidemii, lecz szerzą zarazę także skutkiem tego, że w jednych i tychsamych wagonach przewożą zdrowych z chorymi. Rodzina, której dzieci dotknięte były kokluszem, żądała od konduktora, aby z tego powodu dano im oddzielny przedział. Z powodu braku miejsca żądaniu temu odmówiono, a inne zdrowe dzieci, które jechały w tym samym przedziale, dotknięte zostały zarazkiem kokluszowym i najniewinniej trapienie były przez kilka tygodni przez tę męczącą i niebezpieczną chorobę. Kiedyindziej dziecko zachorowało na błonicę (dyfterytyczne) zapalenie gardła na letniem mieszkaniu, gdzie właściwe leczenie, z powodu braku lekarza i apteki, nie mogło być prowadzonym. Matka z owym chorem dzieckiem przez cztery godziny jechała w wagonie, w którym znajdowały się zdrowe dzieci.

Czyż dwa te przykłady, wzięte z życia, nie dowodzą należycie, że w tym kierunku winny być bezwarunkowo przedsięwzięte środki zaradcze? Zupełne wykluczenie od przyjmowania podobnych chorych do pociągów kolei żelaznych jest niemożliwym i dla tego dyrekcyje powinny przedsięwziąć wszelkie możliwe środki, aby podobni chorzy byli oddzielani od zdrowych.

Przestanie żądanie, którego spełnienia każdy prawie domagać się może, a że w kierunku tym dotychczas nie jeszcze nie zrobiono, dowodzi jedynie, jak mało jeszcze zrobiono w celu zabezpieczenia zdrowia publicznego. Ponieważ choroba wybucha dopiero po upływie pewnego czasu od chwili zarażenia się, dlatego trudno jest określić, że jadąc tą a tą koleją zarazek przeniesionym został od chorego pasażera. A jednak wydarza się to daleko częściej, niżby się zdawało. Dla dzieci dotkniętych kokluszem zmiana powietrza wpływa bardzo dodatnio na przebieg choroby, a nawet po części przyspiesza wyleczenie. Skutkiem tego bardzo często przewożą je drogami żelaznymi z miejsca na miejsce; podobnież i dzieci dotknięte innymi chorobami zaraźliwymi, jak odra, szkarlatyna

i ospa, jeżdżą kolejami wówczas, gdy choroba jeszcze nie wybuchła, lub gdy się już skończyła, a więc gdy zarazić się od nich bardzo łatwo. Dzieci bardzo często zapadają w miejscach kąpielowych lub na letnich mieszkaniach. Wówczas rodzice pragną jaknajprędzej znaleźć się z niem w domu, gdzie posiadają przede wszystkim swego domowego lekarza, a potem wygody, jakich nigdy w obcym miejscu mieć nie można. W wagonie, gdzie jeden podróżny znajduje się tuż przy drugim, gdzie niemal oddycha się powietrzem wydalonem z płuc drugiej osoby (chorej) zarażenie się jest o wiele łatwiejszem, niż gdzieindziej, i w rzeczy samej tą drogą bardzo często przychodzi do skutku, jak tego liczne doświadczenia dowodzą. W wagonach wysłanych, jak to ma miejsce w pierwszej i drugiej klasie, zarazem utrzymać się może przez czas dłuższy po odbyciu podróży w nim przez osobę dotkniętą chorobą zaraźliwą, tak, że wcale nie potrzeba jechać z osobą chorą, aby się zarazić: stać się to może po paru lub kilku dniach. Z tego względu, szczególnie gdy się kładziemy spać w wagonie, dobrze jest podłożyć chustkę.

Zapobiedz szerzeniu się w ten sposób chorób zaraźliwych można jedynie przy pomocy urządzenia wagonów dla chorych. Wagon taki powinien być w ten sposób urządzony, aby w nim można było jaknajłatwiej robić dezynfekcyę, a więc mniej więcej w tym rodzaju, jak wagony klasy trzeciej. Siedzenie powinno być zdejmowane, aby je można było dokładnie wymyć, nawet wysłanie musi być z takiego materyału zrobione. W podobnych wagonach znajdować się powinien rodzaj hamaka, dla pomieszczenia chorych dotkniętych ciężką chorobą, którym wypada pozostawać w pozycji leżącej. Bardzo pożądanem byłoby urządzenie tego rodzaju, aby taki wagon był podzielony na znaczniejszą ilość małych przedziałów, w ten sposób bowiem chory, z towarzyszącymi mu osobami, byłby odosobnionym od innych podróżnych, chorych na inną chorobę. Podobny wagon zaopatrzony w czerwony krzyż, oddawałby wielkie usługi passażerom, którzy nagle w podróży zachorowali, a co nierzadko się przytrafia. Oszczędzonoby w ten sposób wiele przykrości choremu, a także i zdrowym, którzy zmuszeni są nieraz znosić nieprzyjemne szamotaniny się dotkniętych konwulsjami, epilepsyą, tor-syami i t. p.

W niektórych miastach zaprowadzono powozy dla przewożenia chorych do szpitali i do domów, a to z tego względu, aby nie jeździły dorożkami, którymi wszyscy jeżdżą; coś podobnego niezbędnem jest i na kolejach żelaznych t. j. aby dotknięci chorobą lub tacy, którzy ją niedawno przebyli, jeździli oddzielnymi wagonami.

Sądzimy, że każdy chory zgodzi się na to, aby nie narażać zdrowego: tyle przeciw miłości bliźniego każdy posiada, a świadectwo lekarskie powinno wystarczyć do nabycia prawa przejazdu wagonem dla chorych. Jeszcze i w innym kierunku mogłyby zarządy dróg kolei żelaznych przyczynić się do powstrzymania szerzenia się chorób zaraźliwych, do których w ostatnich czasach, dzięki odkryciu d-ra Kocha, i suchoty płucne zaliczono. Skutkiem nowych badań dokonanych przez d-ra Corneta, twierdzić można na pewno, że nie sam chory szerzy zarazę, ani powietrze jakiego wydycha, lecz, że głównym pośrednikiem w zarażaniu się zdrowych od chorych, jest wydalaną płwociną; ta, wysychając wyswabiają znajdujące się w niej laseczniki, które bują w powietrzu, a wraz z niem dostawać się mogą do płuc osób zdrowych i spowodować jedną z najstraszniejszych chorób, jaką człowiek bywa dotknięty. Z tych to względów byłoby bardzo do życzenia, aby w wagonach znajdowały się odpowiednie naczynia do wypluwania; dziś uskutecznia się to przez okno albo wprost na podłogę wagonu, co sprawia otaczającym niemiły widok, a potem, jak powiedzieliśmy, może stać się rozsądnikiem choroby. Spluwaczki z trocinami i piaskiem do tego użytku są niewłaściwe, najlepiej byłoby zaprowadzić odpowiednio urządzone naczynia z pokrywkami, napełnione wodą.

Bacniejszą również należy zwrócić uwagę na odwietrzanie (wentylacyę) wagonów, które—każdy

bezsronny przyznać to musi—jest w zupełnem zaniedbaniu, a wszakże nie o każdej porze dnia i roku można otwierać okna. Wiatr, deszcz, zimno stają temu często bardzo na przeszkodzie i wówczas człowiek zmuszonym zostaje przez kilka lub kilkanaście, niekiedy nawet i kilkadziesiąt, godzin oddychać powietrzem zepsutem. Byłoby również dobrze chronić lepiej wagony od wpływu palącego słońca, które podróżnym bardzo się daje we znaki i czyni podróż nieprzyjemną a nawet szkodliwą dla wzroku. Mamy tu na myśli brak osłaniających okna firanek w wagonach klasy trzeciej.

Nie wymagamy jednak zbyt wiele, aby choć cośkolwiek otrzymać.

Niedawne to jeszcze wcale czasy, gdy na naszej kolei wiedeńskiej i bydgoskiej kursowały podobne wagony sanitarne. Działo się to wówczas, gdy we Francyi szerzyła się cholera. Zrobiono wówczas wszystko, aby być przygotowanym na pierwszy wypadek: był w wagonie felczer, były lekarstwa, łóżka, pościel i t. p. Użytku z nich jednak, na szczęście, nie było.

Sądzimy, że dyrekcye kolei, które w ostatnich czasach zrobiły wszelkie możliwe ulepszenia co do wygody pasażerów, nie pożąają trudów i kosztu w celu zabezpieczenia największego dobra doczesnego, jakim jest bezwątpienia zdrowie.

Dlaczego obawiać się tylko cholery? Dlatego, że naraz zabiera wiele ofiar, że powoduje większe cierpienia!

Pogląd to najniewłaściwszy, albowiem pamiętać potrzeba, że zdrowie i życie jednostki powinno być zabezpieczonem wszelkimi możliwymi sposobami od mogących je dotknąć szkodliwości.

J. S.

Kronika działalności kobiecej.

— *Kurjer Warszawski* podniósł ważną kwestyę dobroczynnej działalności kobiecej. Letnie miesiące są rokrocznie czasem przymusowego świętowania szwaczek i robotnic, zajętych w magazynach ubiorów kobiecych, tak w Warszawie, jak i w innych miastach. Że zaś rzadko która igłą pracująca kobieta może zarobić tyle, aby mieć grosz zapasowy na ten czas bezrobocia, najczęściej graniczy on z niedostatkiem, z biedą nawet. Towarzystwo, któreby stanęło tu biednej do pomocy, nastroczając zajęcie i rozciągając opiekę nad najpotrzebniejszymi, spełniłoby dzieło wielkiej dobroczynności, wielkiego miłosierdzia.

— Otwierają się w Warszawie dwie nowe szkoły rzemieślnicze dla kobiet: jedna siostr Tisserand, Emilii i Natalii; druga Rozalii Ugla, ucząca przeważnie robót kobiecych: szycia, strojów, kwiaciarnictwa.

— Izraelitki w Węgrowie, wyrabiające grube koronki z nici pospolitej, których lókieć sprzedają po 4 do 20 gr., zarabiają jednak tyle, że razem roczna produkcya przynosi im 20.000 rb.

— Na rzecz mającego się otworzyć w Warszawie przytułku dla dziewcząt opuszczonych i zaniedbanych uczyniła p. Matylda Suchecka zapis 1.000 rb.

— Z funduszu p. Ludwika Góreckiej, córki Lindego ustanowiony przy Krakowskiej Akademii Umiejętności konkurs imienia Lindego na prace z zakresu języka polskiego otworzył się z d. 1-go Sierpnia b. roku. Mogą to być opracowania leksykograficzne; monografie z dziedziny gramatyki, historyi języka i dyalektyki polskiej; rozprawy odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi. Prace te powinny odznaczać się metodą ściśle naukową, — tworzyć, każda całość zaokrągloną i skończoną w sobie. Nadsyłać je można, tak w rękopismach, jak i ogłoszone drukiem w ciągu trwania konkursu. Termin ich przesłania do biura Akademii ustana-

wia się na dzień 31 Grudnia 1891 roku. Praca, uznana za najlepszą otrzyma 675 rs., dwie inne, zaznaczające się najwięcej wartością swoją, otrzymają, każda po 337 rs. Prace nagrodzone zostają własnością autora, powinny przecież być ogłoszone drukiem w ciągu roku od przyznania im nagrody przez Akademię; w przeciwnym razie do pełni tego sama Akademia Autor obowiązany jest przesłać Akademii 50 egzemplarzy drukowanego przez siebie dzieła, również i Akademia, w razie podjęcia druku, obowiązana jest do takiej przesyłki dla autora.

— Marya Świerk, włościanka ze wsi Łopuchowej w Obwodzie Krakowskim, przystąpiła do stowarzyszenia imienia Staszycza.

— Ewelina Dobrzańska urządziła w Krakowie, we wzorowej mleczarni swojej, zakład oczyszczania mleka według metody francuzkiego lekarza, Dra Soxhlet'a, polegającej na uwolnieniu mleka ze wszystkich zdrowiu szkodliwych zarazków i powstrzymujący na czas pewien process kisnięcia. Mleko takie służy dobrze do karmienia niemowląt.

— Lekarze krakowscy, którzy odbyli wycieczkę balneologiczną po Galicyi, wysoko podnoszą obywatelskie zasługi hr. Anny Potockiej, właścicielki Rymanowa, która troskliwem i pracowicie łozonem staraniem podniosła kąpielowy zakład tamtejszy do stanu najlepiej pod względem wszelakim urządzonych zdrojowisk, co jest niemałą zasługą obywatelską, bo gdy osoby potrzebujące się leczyć znajdują u wód krajowych wszystkie požądane tu warunki wygody i zdrowotności, nie szukają już kuracyi na obczyźnie i nie wywożą z kraju drogiego tu grosza. Obok tego lecznicza kolonia dzieci niezdolnych, wysyłana tam dobroczynnie pocziwem staraniem Dr Żulińskiego ze Lwowa, doznaje ze strony tej zacnej pani najtroskliwszej opieki. W biejącym roku kolonia rymanowska liczy 50 chłopców i 40 dziewcząt. Lwowska Rada Miejska wyznaczyła dla tej kolonii subwencyą roczną 2.000 zł. reń. z warunkiem, aby corocznie korzystało z tej dobroczynnej instytucji najmniej 10 dzieci ze Lwowa.

— Zawodowe szkoły pracy kobiecej w Galicyi, po części utrzymywane z funduszy krajowych, po części subwencyonowane są: szkoły koronkarstwa w Zakopanem, w Kanczudzie i Muszynie; szkoła robót kobiecych S-tej Scholastyki w Krakowie; szkoła Benedyktynek w Przemyślu, szkoła Stowarzyszenia Pracy Kobiet we Lwowie. Wydatki na ich utrzymanie z funduszu krajowego wynoszą rocznie 5.960 zł. reń: Komissya Krajowa dla szkół przemysłowych żąda obecnie od rządu zasiłku wynoszącego 2.750 zł. reń.

— Galicyjski wydział krajowy postanowił uprawnocić fundacyę p. Felixy Czarkowskiej dla rękodzielników i przemysłowców pochodzenia polskiego, wynoszącą 300.000 zł. reń. W tym celu uwiadomił on pełnomocnika fundatorki, D-ra Henryka Szydłowskiego, adwokata lwowskiego, że, przyjmując imieniem kraju ten nowy dowód jej hojności i ofiarności do wdzięcznej pamięci, gotów jest również przyjąć i zarząd nad tą fundacyą, wielce pożyteczną dla przemysłu krajowego. Wydział krajowy odniósł się również od pełnomocnika ofiarodawczyni, aby sumę 200.000 zł. reń., złożoną w banku hipotecznym, przelał do kasy wydziału krajowego.

— P. Anna Wolska, urodzona z rodziców polskich we Francyi, ale nieuwzględniająca się bynajmniej za Francuzkę, która dorosłą już kobietą przebywała lat kilka w ojczyźnie swym krajem i tylko jako wiernie służącą ojcu Antygona powróciła z nim do Francyi, usiłuje założyć w Paryżu międzynarodową księgarnię dzieł pisanych przez kobiety. Pozyskała ona dla tego przedsięwzięcia znaczną liczbę osób wpływowych, które zapisały się do rady opiekuńczej przyszłej instytucji: „Comité de Patronage“. Jest między niemi księżniczka Krystyna angielska; Królowa Rumunii, zapisana tam pod literackim swym pseudonimem „Sylva Carmen“. Z Polek piszące o tem czasopiśmie wymieniają jedynie Modrzejowską. Między mężczyznami znajduje się Sully Prudhomme, kilku członków Akademii Francuzkiej, Max Müller. Podobna księgarnia ma być także urządzoną w Turynie; i tu liczą na

możność zgromadzenia około 10.000 tomów, z których jedną połowę zajmie powieść i poezja, gdy druga obejmować będzie dzieła treści historycznej, filozoficznej, pedagogicznej. W każdym razie księgarnie takie mogą mieć jedynie znaczenie okazji literackiej i naukowej wytwórczości kobiecej i nie można pojąć inaczej tej odrębności. Jeżeli kobieta tegoczesna dąży do zrównania się z mężczyzną na polu pracy, oddzielność podobna nie powinna właśnie mieć miejsce. W ogóle całe to przedsięwzięcie jest, według mego przekonania, bezużyteczna manifestacja emancypacyjna i koszt, które spowoduje, mogłyby być lepiej użyte na naukowe pomoce i szkoły dla kobiet.

— W Paryżu dają się słyszeć liczne głosy żądające publicznego uczczenia pamięci M-me Roland, przez wzniesienie jej pomnika i umieszczenie go w Panteonie obok wielkich ludzi pierwszej Rewolucji Francuskiej.

— Uczona Francuzka, Fanny Bignon, czytała na dorocznym posiedzeniu francuskiego Towarzystwa Zoologicznego rozprawę o olbrzymim żółwiu (*Chelonia viridis*). Jest ona chlubnie znaną w naukowym świecie francuskim i posiada stopień „Licenciée ès sciences”, pozyskany w Sorbonnie, gdzie studiowała nauki przyrodnicze a szczególnie zoologię, pod prof. Lacaze Dullies. W 1888 r. wykładała ta uczona panna higienę w paryskiej szkole: „Associaton Philotechnique”. Akademia Francuska przyznała jej najpierw godność „Officier de l'Académie”, następnie: „Officier de l'Instruction Publique”; obecnie jest ona professorką w „Ecole Municipale Supérieure” oraz sekretarką „Francuskiego Towarzystwa Geologicznego.” Jest obok tego członkiem kommisji edukacyjnej, która organizowała na obecnej wystawie paryskiej oddział pedagogiczny.

— Na liście studentów, którzy przebyli zadowalniająco examina na matrykulację w uniwersytecie londyńskim, zostały zapisane na liście honorowej cztery nazwiska kobiece. Jedną zpomniadzy tak zaszczytnie odznaczonych, młoda panna, Blanka Hewett, jest najpierwszą, nie tylko między towarzyszkami, ale i między studentami, a stanęła do examinu z edukacji domowej. Na ogólnej liście examinowanych na matrykulację jest w pierwszym oddziale 125, w drugim 35 kobiet. Razem złożyło w Londynie w miesiącu Czerwcu 164 kobiet examina, wykazujące przygotowanie do słuchania wykładów uniwersyteckich. Nawiasem dodać trzeba, że kobieta angielska, która uczy się tak poważnie, przedstawia niemniej najdoskonalej rodzinny, domowy typ kobiety.

— Giełda pracy kobiecej urządzoną została w Monachium. Jakkolwiek przystęp do niej jest otwarty dla każdej kobiety, jest to niemniej przedsięwzięcie prywatne i chociaż funkcjonuje w środku miasta trzyma się jednak na uboczu. Jest w Monachium wspaniale urządzona kawiarnia „Café Union”, do której schodzą się licznie, zwłaszcza zwolennicy gry w szachy, i obok niej, ale ustronnie, w podwórzu i tylko przez skromny napis: „Damenloca” — znać o sobie dająca, znajduje się obszerna, rzędem kolumn na dwie części przedzielona sala, będąca razem kawiarnią dla kobiet i giełdą, na której załatwiają się rozmaite interesa świata kobiecego jak kupno, sprzedaż, zawierają się umowy najrozmaitszego rodzaju. Sala objąć może od 200 do 300 osób, wyłacznie kobiet, wśród których znajdują się wszelkiego rodzaju pracownice i pracodawczynie. Jedne przynoszą tu najrozmaitsze wyroby pracy swojej, na zbyt przeznaczone, poczynając od najokazalszych, w dziedzinę sztuki wkraczających, do najprostszych, najpospolitszych, jak para pończoch wełnianych przez biedną staruszkę mozołnie udzianych. Powtarza się to samo co do innych, na zbyt lub zamianę przeznaczonych przedmiotów, i znaleźć tu można kosztowne klejnoty, szale, wytworne materye, obok rzeczy prostego, domowego użytku i jakkolwiek zbierają się tu i handlarki, czatujące na dobry interes, nie mogą już one korzystać bezwzględnie z nieswiadomości lub biedy, przyciskającej robotnicę lub matkę ubogiej rodziny, bo większa jawność, konkurencja a często dobra rada lub ręka, dobroczynnie potrzebującej tego podana, nie pozwolą na zbyt krzywdzący wyzysk.

Usuwa się też na stronę pośrednictwo w umowach. Stręczycielki pracy stają się mniej potrzebnymi — co też jest rzeczą ważną, zwłaszcza dla osób pracy szukających, które inaczej muszą składać pośrednikom jakoby podatek od znoju swego. Z tych wszystkich względów monachij-ska giełda kobiega jest wielce pożyteczną, można powiedzieć, instytucją a zarazem jest miejscem, gdzie kobieta pracująca poza domem i zdala od niego, może znaleźć obok potrzebnego jej posilku i wygodny odpoczynek, z którego, zwłaszcza młoda, swobodniej korzystać może w siostrzanem otoczeniu samych kobiet.

— Szlachetna Irlandka, działająca z poczi-wych pobudek dobra ogólnego, Ernestowa Hart, położyła sobie za zadanie podnieść dobrobyt kraju i rodaków swoich przez możliwe wzmaganie prowincjonalnego przemysłu domowego. Zaczynając od rodzinnej swej strony Donegalu, założyła szkoły gospodarstwa kobiecego, jak hodowli drobiu, szycia bielizny, tkactwa białego i kolorowego. Wysłała przytem do Londynu na naukę rzeźbiarstwa dwóch młodzieńców, aby, wyuczywszy się tam, zwłaszcza drzeworytnictwa, stali się z kolei nauczycielami wiejskiego i małomiasteczkowego ludu, szczepiąc tym sposobem pośród niego przemysł artystyczny. Wśród tkackich, jej staraniem wzniesionych, zakładów, wyrabiających korty, szale i inne tym podobne przedmioty na krosnach domowych, jest w użyciu więcej niż 12.000 wzorów, odpowiadających warunkom dobrego i przez modę nowoczesną przyjętego smaku. Mrs. Hart ożywiła również po wsiach przemysł płócienniczy i, nie zadowalniając się dobrem już dokonaniem, usiłuje rozpowszechniać między ludem Donegalu wszelkiego rodzaju wyroby ręczne, utrzymując, że „wzmoczony przemysł domowy przywróci Narodowi Irlandzkiemu dobrobyt, opierający się wszędzie i zawsze na możliwości jednostek i rodzin, nieubożących się ustawicznie przez ciągłe wydatki na zaspokojenie potrzeb życia codziennych.” Wielki przemysł, rozwiemożniony nadmiernie w wieku na-zym, pochłania mienie tysięcy, bogacąc jedynie klasy handlujące, które w Irlandyi, pozbawionej wielkich kapitałów, składają się przeważnie z obokrajowców. W broszurze, napisanej przez siebie, Mrs Hart tłumaczy dowodnie, bo na podstawie danych statystycznych, że tak jest: że „wielki przemysł, i handel, podobny do żarłocznej ryby morskiej, hai, która się żywi drobiazgiem swego rodzaju, chłonie rezultaty pracy milionów, które, składając mu haracz ciągle, ubożeją, zwolna, ale nieustannie — z dnia na dzień tracąc coś z zasobów, które się tam przelewają.”

DZIECI I MATKI.

PRZEZ

ALFONSOWĄ DAUDET.

Przełożyła ADA.

DZIECI I LUDY.

Czwarta po południu — godzina, w której kończą się lekcye w szkołkach.

Biedna młoda kobieta, z dzieckiem na ręku, prowadzi małego chłopca w czarnej płócienniej bluzce i małym kaszkietku; ubranie ma krótkie i na łokciach wycerowane.

Nie zwracając uwagi na przechodniów, skarży się on głośno swej matce, — ociera oczy rękami, które dziś pisały, mieszkając łyż z atramentem na tej małej, na wpół jeszcze dziecinnej twarzy. Matka, szczupła jasna blondyna, czując boleść dziecka, mówi zirytowanym głosem: „Dlaczego nie poskarżyłeś się pani, że uderzył cię w twarz”.

Odczuwała niesprawiedliwość wyrządzoną dziecku — w policzku tym czuła pogardę okazaną jej pracowitej nędzy.

Dziecko głośno i uparcie powtarzało ciągle swoją skargę matce, której duma cierpiała okrutnie.

Chcąc, żeby jej dziecko więcej korzystało z nauki i nabrało lepszego ułożenia, umieszcila je na pensyi, na którą oddawali swoich synów kupcy i drobne mieszczaństwo; a dziś biedaczka widzi, że spóźniona opłata wpisu i skromny ubiór malca zrobiły z niego ofiarnego kozła całej szkoły.

Podczas tego popołudnia, kiedy tyle spotkałam ludzi zmęczonych życiem, zniechęconych tą wiekuiastą walką o byt, z łatwością dopełniłam w mej myśli tę małą scenę uliczną.

Widziałam smutny powrót do domu, ponure spojrzenie ojca, — lub może był to stan wdowieństwa, — tak lichy podtrzymywany mozolną pracą kobiety, w którym rosnące dziecko jest jedyną nadzieją przyszłości, jedyną dumą dozwoloną.

Spoglądałam długo na tę grupę rodzinną z litością i trwogą, która mi boleśnie serce ścisłała...

Siódma wieczorem. Że też to nigdy nie można być na czas oznaczony w domu! Kursa w Paryżu są tak odległe, a tyle się ma wizyt do oddania; godzinę u szwaczki, u modystki, małeńka zmiana w kapeluszach już zbyt znanych, projekta na wiosnę, już tak blizką a tak pożądaną. Za kwadrans będzie się w domu, gdzie już obiad czeka, dzieci wróciły z przechadzki, mieszkanie ciepłe, zaciśnię, oświetlone, na szeslongu miękki szlafroczek oczekuje na swoją panią, a znów za parę godzin zamieni się na strojną toaletę, bo dziś wielki bal u Stephenson'a.

Ah! i to jeszcze nie koniec: trzeba być piękną i wesolą aż do piątej rano!

Lecz otóż jakaś przeszkoda na ulicy Varenne — zawsze się to jakoś zdarzy temu, kto się śpieszy — uszkodzony tramwaj, olbrzymie wozy naładowane stojące wpoprzek ulicy, lub coś podobnego.

Karetą się zatrzymuje i młoda elegantka, czekając, wygląda przez spuszczoną szybę.

Sklep jest pustym w tej chwili, jest to sklep piekarza. Widać puste przegródki i kosze roznosicieli ustawione w głębi.

Przy koniarze młoda kobieta prawie w jej wieku, szykowna i świeża, gładko uczesana, z małeńkim stojącym kołnierzykiem w wełnianej sukni robi pończochę; książka kassowa leży jej na kolanach, gdyż mimo spóźnionej pory gość może jeszcze nadejść: robotnicy powracający z roboty, posłańcy i tym podobni. Przy niej chłopiec siedmioletni, z potarganą głową i małeńkimi chudymi rączkami, czarnymi od atramentu.

Położył swój tornister pod kontoarem, wyjął z niego książki i czyta, uczy się, podparłszy łokciami jasną główkę.

Rozbujana myśl modnej damy, która podróżuje całe lato a tańczy i bawi się całą zimę, zatrzymuje się na chwilę przed tym spokojnym obrazem, który duże zwierciadło w głębi stojące najdokładniej odbija — matkę i dziecko, obok siebie pracujących wspólnie.

Zbawienny przykład na obecną i na późniejszą chwilę, na całe życie tego dziecka, które kiedyś będzie człowiekiem, zostawi jedno wspomnienie matki i pracy jej, która czuwała nad jego pracą.

Cóż to za różnica z jej życiem! I zostawszy nagle myślicielką na dziesięć minut przymusowego wyczekiwania, wyobraża sobie to życie drobnych przemysłowców w Paryżu, to wstawanie nad ranem, wtedy kiedy ona zasypia po raz drugi...

Matka zwykle tutaj wstaje najpierwsza, o jednej godzinie; dziecko musi iść do szkoły, potem gdy mały umyty, uczesany, błyszczący jak kotek wychodzi do nauki, ona schodzi do sklepu, zimnego jeszcze w tej chwili, gdzie oczekuje na nią zajęcie: wysyłka roznosicieli, rachunki, urządzenie wystawy i t. p. I przez cały dzień swoim obo-

wiązkiem zajęta myśli o swym malcu, który także pracuje.

Z pewnością ta matka jest więcej matką, niż ona!

A jednak ona kocha swe dzieci, swojego Ludwika, któremu tak ładnie w kostiumie marynarskim ze złotymi kotwicami, a i Mary i Lucynkę, które z takim wdziękiem noszą białe kapotki na złotych lokach.

Oh! ona je kocha z całego serca, lecz nigdy jej umysł ani też ręce nie są niemi zajęte bezpośrednio. Tak! ona je ubiera sama na bale kostiumowe, poprawia co źle jest ułożonem, przyklepia muszki na tych mlecznych buziach.

Lecz prócz tego wszystko ją trudzi i męczy z wyjątkiem świata, który ją porywa, pochlebia, otacza swemi hołdami... i znów jej oczy spoglądają w głąb sklepu.

Za kontoarem nie ma nikogo, lecz przez drzwi otwarte wewnątrz widać ojca, matkę i dziecko obiadujące wesoło razem.

Zmęczona tym całodziennym gwarem i ruchem, myśląc o tem, że trzeba jej będzie przebierać się jeszcze po raz czwarty, opuścić dzieci, nie zdążywszy ich nawet popieścić, zdolną byłaby zazdrościć tym biednym ludziom ich cichego szczęścia, gdyby kareta, ruszając z miejsca, tym delikatnym ruchem stalowych resorów, nie rozwiła widzenia, podobnego do wielu innych już dawniej spotkanych, a zatartych we mgle paryzkiej, tej mgle, w której zaciera się wszystko.

Z bieżącej chwili.

— **Gazeta Radomska** ogłosiła konkurs na rozprawę lub artykuł: „Jakie środki należy przedsięwziąć, aby usunąć, a przynajmniej zredukować do minimum, nieszczęśliwe wypadki z dziećmi po wsiach i osadach; w jaki sposób należy zorganizować nad nimi opiekę i ochronę“. Autor, rozstrzygający najlepiej zagadnienie, otrzyma 100 rs. nagrody. Termin nadsyłania prac konkursowych jest do 1 Maja 1890 r. Pióra kobiece powinny tu wziąć liczny udział, bo rzecz ta wchodzi w zakres obywatelskiej i filantropijnej działalności kobiecej, jak to pismo nasze przypomina czytelnikom swoim od lat wielu.

— **Andriolli** odbył wycieczkę konną w celach artystycznych: przebył Proszowskie, Góry Świętokrzyskie, i przez Rąbkę, Szczawnicę dotarł do granicy węgierskiej. Zamierza on powtórzyć wyprawę, w której weźmie udział hr. Benedykt Tyszkiewicz i podobno pań kilka. Na taką, tylko pieszą, wędrowkę wybiera się Jan Gall, kompozytor krakowski, i Porębowicz, tłumacz Kalderona. Szlak wytknięty jest z Białej do Zakopanego.

— **Wycieczkę artystyczną** odbywa sześciu uczniów wyższych kursów Szkoły Sztuk Pięknych pod przewodnictwem prof. Łuszczkiewicza. Po lew wycieczki są okolice Sącza, Grybowa, Szamborka, a celem jest badanie pod względem naukowym i artystycznym zabytków starej architektury, licznie rozsypanych w stronach tamtych. Ministerium oświaty wyznaczyło na ten cel znaczną kwotę.

— **Przewodnik geograficzny węgierski** podaje spis Polaków zasłużonych na polu prac geogra-

ficznych, a to: Jan Paweł Cieszkowski w Afryce, generał Józef Chelmiecki w Ewera w Portugalii, Izidor Czyszkowski w Montewideo, Soter Drelinkiewicz w Szkocji, w Edynburgu, Wład. Folinkierski, inżynier w Peru, Mieczysław Gieniusz w Izmaile (Kanał Suezki), Ildefons Gliński i Michał Górski w Buenos Ayres, Michał Gurowski w Brazylii, Andrzej Gut, architekt w Meksyku, bracia Gzowscy: Brunon i Cezary Stanisław, inżynier i pułkownik-adjutant królowej Wiktorii w Kanadzie, Edward Habich, dyrektor szkoły budowniczej w Lima, Jarosław Zieliński, dyrektor konserwatorium muzycznego w Grand-Rapids, Stan. Żaliński, porucznik wojsk Stanów Zjednoczonych w Nowym Yorku, August Zieliński, porucznik wojsk austriacko-węgierskich, *attaché* przy konsulacie austro-węgierskim w Nowym Orleanie, malarz i poeta, wreszcie Bronisław Grabczewski podróżujący obecnie po Azji Środkowej.

— **Krakowska Akademia Umiejętności** roztrząsała przedstawioną jej przez Dr Korzeniowskiego propozycję poszukiwania po archiwach tureckich aktów odnoszących się do dziejów polskich. W drugiej połowie Września udaje się do Konstantynopola kommissya węgierska z Buda-Pesztu, która na mocy specjalnego upoważnienia sułtana czynić będzie w bibliotece Starego Seraju poszukiwania rękopism pochodzących z biblioteki niegdyś Macieja Korwina. Ponieważ jest rzeczą pewną, że znajdują się w bibliotece sułtańskiej rękopisma, które należały niegdyś do Władysława Warneńczyka, przeto od XVI wieku utrzymuje się między historykami naszymi tradycja, iż najdawniejsza metryka koronna została nam pod Warną zabrana i że ją widziano w Konstantynopolu. Kommissya węgierska oświadczyła życzenie, aby w celu tych poszukiwań przyłączył się do niej jakiś nasz historyk, któremu ofiaruje wszelkie poparcie. *Akademia Krakowska* uchwałała zatem przez swoją *kommissyę historyczną*, aby Dr. Korzeniowski korzystał z propozycji i poszukując wspomnianej metryki koronnej, zbadał, czy w archiwum patriarchy w Konstantynopolu nie znajdują się jakie akta, odnoszące się do dziejów naszych?

— **Medalion Grottgera**, wykonany w marmurze przez Stanisława Lewandowskiego, pomieszczonym został w Muzeum Lwowskim. Fundusz na jego zakup powstał przeważnie ze składek, przecieź szlachetny jego twórca nie przyjął nie nad zwrot kosztów.

— **Ian Kukuljowicz-Sakciński**, historyk chorwacki, zmarł w dobrach swoich w Puhakawcu. Wystąpił on na pole literackie w bratniej drużynie odrodzicieli literatury i narodowości chorwackiej, jako poeta, ale wkrótce, podobnie jak nasz Szajnoch, stał się z niego badacz dziejów swego narodu. Zpod pióra jego wyszło wiele monografii dziejowych, opartych na głębokich studiach historii ojczystej, pisanych językiem świetnym, przypominającym poetę. Dramat z jego lat młodych *Poturczenie* (Paturica) pozostanie na zawsze w literaturze chorwackiej, również jak i poezye liryczne, przeniknione gorącą miłością Chorwacy i malujące piękność jej natury i siłę uczuć bijących w piersiach jej dzieci. Zamożny pan wiejski, służył niemniej krajowi na urzędach obywatelskich i doszedł do godności wielkiego żupana zagrzebskiego. Przecieź w chwilach ciężkich dla narodu zrzekł się tych wszystkich godności urzędowych i piastował tylko przez lat wiele dostojność prezesa „Macy chorwackiej“ oraz był członkiem różnych towarzystw. Umarł sędziwym, 73 liczącym starcem; do końca życia zachował umysł zdrowy i niezłomną siłę uczuć szlachetnych.

— **Sokołowie czescy** złożyli w czasie swej wycieczki na wystawę paryzką wieniec bardzo wspaniały i kosztowny na pomniku Mickiewicza w Montmorency. Na bogatych jego wstęgach widnieją napis „Wieszczowi polskiemu, Adamowi Mickiewiczowi, sokoły czeskie.“

— **W Panteonie Paryżkim** złożono już prochy trzech wielkich patriotów francuzkich: Carnota, Marceau i Latour d'Auvergne. Katafalk, wzniesiony w przedsiönku, wysoki był na pięć metrów, ozdobiony gromnicami i chorągiewkami; dół osłaniała biała, srebrem haftowana draperya, z góry spływał całun trójkolorowy. Wnętrze panteonu wybite było kirem; oprócz chorągwi zdołał go baldachim a czarne wstęgi spływały, wijąc się koło kolumn. Podobnie ozdobiona była krypta, w której umieszczono trumny. Każdy przyjmujący je grobowiec, ma na sobie złotem rytym napis. Wartę honorową trzymał czterdziesty pułk liniowy, w którym służył Latour d'Auvergne. Co rok d. 24 Czerwca, jako w dniu jego śmierci, wywołują tam przy apellu jego nazwisko, a najstarszy z żołnierzy odpowiada: — Poległ na polu chwały! — Współ z czterdziestym pułkiem liniowym pełnił służbę w czasie uroczystości pierwszy pułk inżynierów, którym dowodził niegdyś Łazarz Carnot.

— **Ameryka**, chcąc uświetnić czterystoletnią rocznicę odkrycia jej przez Kolumba w 1892 r. w Nowym Yorku urządza wystawę powszechną. Na czele komitetu wystawy stanie Grant, jako burmistrz miasta. Utworzył się już komitet kupców hiszpańskiego pochodzenia z celem, aby państwa Ameryki Południowej przesyłały na wystawę wszystkie plody natury i przemysłu tych krain.

— **Opis podróży po Grenlandyi**. Dr Friedehjofa Hansen ukaże się wkrótce: jednocześnie po duńsku, francuzku i angielsku. Wydawcą francuzkim jest w Paryżu Hachette, angielskim Longman w Londynie, zapowiadany też jest przekład niemiecki. Dzieło zdoła być liczne ilustracje, a objęcie ono od 30 do 40 arkuszy druku. Największe honorarium otrzymał autor od angielskiego wydawcy w sumie 30.000 franków.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż uzyskawszy pozwolenie autora oraz Władz obywatelskich, zarządził wydawnictwo **premium bezpłatnego** dla członków Towarzystwa za r. b. Premium stanowić będzie reprodukcja kolorowana (u Lemerciera w Paryżu) obrazu Jana Rosena „Przegląd kawalerii przed W. Ks. Konstantym na Placu Saskim w Warszawie w r. 1824“. Jeżeli nie zajdą nieprzewidziane przeszkody, reprodukcja będzie gotowa do odebrania w m. Grudniu r. b.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się Arkusz 7-y powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

TREŚĆ: Wspomnienie, (wiersz) przez J. Nitowskiego. — **Błędna Ścieżka**. Szkic powieściowy, M. Wołowskiego. — **Nowiny paryzkie**. — **Rapsod Dymbowicy** przez St. R... — **Wiadomości z higieny i medycyny popularnej**; przez J. Starkmana. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Dzieci i Matki**, przez Alfonsową Daudet. Przełożyła Ada. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-y powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy**, przez J... B... Ed... — **Przegląd mód**. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Вapшaвa 9 Aвpыcтa 1889 гoдa.